Nr. 2. 1890 r. Ogólnego Wydawnictwa Rok XIII.

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 1. Października 1890 r.

Goniec i Iskra wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* wychodzące nieperjodycznie. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. — Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.

Na przyszłość.



— Ja odjeżdżam — widzisz płaczę, tak mi przykro, a ty, jakoś, moja żoneczko nie wyglądasz smutno...

— Ach, widzisz, ja się już dziś cieszę z tego, jak się będę cieszyła, gdy powrócisz...



Praktyka inżynierska.

— Hej kolego! ja muszę tam wejść po drabince... Co tam robisz u djabła!?...

— Ja tu dokony wam zupełnego wywłaszczenia...



Może to i racja...

— Ile kosztuje fotel w parterze?...

— Reński pięćdziesiąt centów.

— Możebym mógł dostać za połowę ceny, bo ja na jedno ucho nie słyszę zupełnie...

Od Administracji.

Prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów naszych, o rychłe odnowienie bieżącej i wyrównanie zaległej prenumeraty, przyczem nadmieniamy, że wszelkie zaległości są dla wydawnictwa zbyt uciążliwe, nietylko z powodu komplikacji rachunków poszczególnych, ale i z tej przyczyny, że mamy bardzo liczne i ciągłe wydatki.

Na tem też miejscu prosimy Szanownych Abonentów w Ameryce zamieszkałych, aby zechcieli sami poczuwać się do odsełania zaległej prenumeraty, gdyż osobna korespondencja z nimi jest kosztowna i zajmuje nam dużo czasu. Administracja powoduje się dobrą wiarą, sądzimy przeto, że i Szanowni Abonenci nasi, tak samo postępować powinni.

Nowy Marszałek.

W poprzednim numerze zamieściliśmy portret księcia Eustachego Sanguszki nadmieniając, że nominacja księcia Marszałkiem Sejmu krajowego, jest tylko kwestją krótkiego czasu. Tak się też stało. Książe Eustachy Sanguszko mianowany już został przez Najjaśniejszego Pana naczelnikiem krajowego rządu autonomicznego w miejsce hr. Jana Tarnowskiego, który też natychmiast Lwów opuścił — nie z żalem.. Nowego dostojnika, powołanego na zaszczytne stanowisko łaską i zaufaniem Monarchy — wspólnie i solidarnie z całym krajem, witamy serdecznie staropolskiem: Szczęść Boże!... Któż nie wie, że droga przed nim nie różami usłana — sam Marszałek przekonany jest o tem najlepiej — tem większa jego zasługa, że się podjął mozolnej pracy, tem będzie jeszcze większa, gdy na tem trudnem stanowisku, okażą się owoce patrjotycznej i rozumnej działalności — co daj Boże!..

Od ręki.

= Z daleka...

Po miastach katolickich Europy, odbywa podróż ksiądz Daniel murzyn. Był on i u nas. Jeździ z nim braciszek, ksiądz Gayer, który tu i ówdzie miewa prelekcje o murzynach, bo wśród nich był misjonarzem. Oto, kilka bardzo ciekawych szczegółów o życiu murzynów, które ksiądz Daniel i ksiądz Gayer opowiadają publicznie:

Lud, z którego pochodzi Ojciec Daniel, murzyn, zajmuje się uprawą roli i hodowlą bydła, mianowicie rogatego, kóz i owiec, które cały majątek krajowców stanowią. Innych domowych zwierząt tam nie ma. Chłopcy paszą bydło, siostry ich, lub inne krewne przyspasabiają im żywność rodzice zaś i dorosła młodzież uprawiają rolę. I Ojciec Daniel spędził chłopięce lata przy bydle, w towarzystwie ukochanej siostry Acciol.

Do uprawy roli używają Dinkowie (tak się, bowiem, ten szczep murzynów nazywa), trzech rozmaitych narzędzi z żelaza, lub z kości słoniowej, w kształcie motyli, z których największe ma 50 metrów długości, pracują zaś w roli klęcząc. Urodzajna ziemia wydaje zboże, kukurydzę (turecką pszenicę), bawełnę, trzcinę cukrową, ból, winną latorośl i inne nieznane w Europie rośliny. Rosną też tam tamaryndy, drzewa kokosowe i chlebowe. Gdy zboże dojrzewać zaczyna, żną je aż pod korzeń, poczem tenże znowu puszcza i w dwa miesiące później powtóry raz odbywają się żniwa.

Rządu żadnego Dinkowie nie znają, tylko w każdej wiosce na czas wojny odbierają sobie naczelnika, zresztą, każdy ojciec ma nieograniczoną władzę, a synowie dopóty jej podlegają, dopóki się nie ożenią. Mężczyźni i dzieci chodzą całkiem nago, mężatki i dorosłe dziewczęta noszą w koło biodr pasek z frędzlami, rachat zwany.

Pieniędzy krajowcy nie znają, lecz wymieniają pomiędzy sobą rozmaite przedmioty. Ich mieszkaniem nizkie, okrągłe lepianki z drzwiami na pół metra wysokiemi, wyższe natomiast są drzwi do obór. Mężczyźni sypiają na ziemi przy bydle, obrzucając się suchym gnojem dla ochrony przed komarami, kobiety okrywają się na noc wołowemi skórami.

Narzeczony w dzień ślubu daje rodzicom oblubienicy 10 krów i stadnika, oprócz tego 10 krów matce, a po pięć każdemu z braci narzeczonej, jej zaś siostrom rozmaite ozdoby. Narzeczona nic nie otrzymuje, natomiast dziedziczy część dobytku po rodzicach.

Mężczyźni mogą mieć po kilka żon, ale pierwsza żona i jej dzieci mają zawsze pierwszeństwo przed innemi. Gdy umrze głowa rodziny, wtedy brat jego winien wdowę po nim wziąść za żonę, a jego dziećmi się opiewać. Najstarszy syn obiera dla zmarłego ojca, lub matki miejsce spoczynku. Moralność panuje między nimi wielka. Jeżeli się zdarzy, że dziewczyna upadnie, wtedy matka zabija nowonarodzone dziecko, a córkę czemprędzej wydaje za mąż, w niektórych nawet miejscach topią upadłą dziewczynę.

= Kto wie?..

Wielu jest już królów, którzy zrzuceni przez swe ludy z tronu, żyją jako ludzie prywatni. Grono tych królów bez tronu, powiększył murzyński król, Dawid Kalakaua z wysp Sandwich. Skutkiem rewolucji siódmej, czy ósmej podczas jego panowania, Kalakaua został pozbawiony tronu i wybiera się w podróż do Europy. Był on zawsze zapalonym podróżnikiem, wycieczka jego po Europie, odbyta przed kilku laty, stała się głośną. Pieniądze jednak nie dopisywały mu nigdy. Kiedyś, gdy znajdował się w bardzo niewesołem położeniu, nie mając ani grosza na wydanie, pewien właściciel cyrku Barnum powiedział mu, że go weźmie za 200,000 tal. rocznie do swego cyrku. Za tę pokaźną płacę król Kalakaua miał tylko pokazywać się publiczności, przedstawiać swoje dowody, że jest królem i w końcu rozdzielać między widzów niewielką liczbę orderów hawajskich. Wówczas, murzyński monarcha z królewską dumą odrzucił to, kto wie jednak, czy dzisiaj sam się do Barnuma nie zgłosi! Tak to szczęście kołem się toczy.

= Z pola literatury i sztuki.

* Komedja Francuzka utraciła jedną z lepszych aktorek swoich, niezmiernie wdzięczną panią Joannę Samary, „naiwną“, która umiała płakać na scenie prawdziwemi, szczeremi łzami. Co niekażdy tragik potrafi sprawić, ona, naiwna, dokonywała. Wzruszała, rozrzewniała rzeczywiście.

Sympatyczną aktorkę, którą śmierć zabrała w kwiecie wieku, uczczono pogrzebem, jaki niekażdej „komedjantce“ przypada w udziale. Straż honorową przy jej trumnie tworzyli pp. Claretie, Got, Febvre, Mounet Sully, Worms i Laroche, za karawanem postępowali aktorowie wszystkich teatrów paryzkich i rozgłośni autorowie i krytycy dramatyczni Francji. Widziano nad grobem przedwcześnie zgasłej artystki: Feuilleta, Dumasa, Sardoua, Paillerona, Halévyego, Coppéego, Silvestra, Richepina, Vaquariego, Juljusza Lemaîtra, de Lapommeraya i w. i.

Górą kwiatów pokryto świeżą mogiłę, przez wszystkich z żalem żegnanej aktorki.

* Młodej Rumunii przybyła w tych dniach mogiła, nad którą płakał cały naród. Spoczął pod nią Bazyli Aleksandri, znakomity poeta i patryjota.

* Aleksander Hepp, francuz, autor nieznanych u nas powieści p. t. *L'Epuisé* i *Chaos*, napisał dla *Gil Blasa* nowy romans p. t. *Le lait d'une autre*

* U paryzkiego wydawcy Dentu, wyszedł dramat Leopolda Stapleaux p. t. *L'Ivresse de Jean Renaud*. Dramat ten wystawi podobno teatr *Porte Saint Martin*.

* W Paryżu żyje w chwili obecnej podług *Figara* 7,356 osób z aktorstwa i śpiewu W liczbie tej znajduje się 906 cudzoziemców.

* W Monachium oklaskiwano w tych dniach operetkę w 3 aktach Henschela, z muzyką Findeisena, p. t. *Der alte Dessaer*.

* Tegoroczny międzynarodowy kongres literacki, dwunasty z rzędu, odbędzie się w Londynie w Mansion House. Posiedzenie wstępne wyznaczono na dzień 4. października.

= Statystyka ludzkich sumień...

Według najnowszych tablic statystycznych Habnera, liczba rzymskich katolików, razem z ormianami i unitami wynosi w Europie 156 miljonów, starokatolików 140.000, ewangelików 73 miljony, desydentów protestanckich około 2 i pół miljona, metodystów 3 i pół miljona, unitarjtów 150.000, wyznawców prawosławia 81 i pół miljona, żydów około 6 miljonów, mahometan około 6 i pół miljona, bezwyznawców 447.000. Na całej zaś kuli ziemskiej, podział poszczególnych wyznań, według najnowszego podręcznika geograficznego Daniela jest następujący: liczba katolików rzymskich wynosi 227 miljonów, wyznawców prawosławia 87 miljonów, ewangielików i wyznawców kościoła anglikańskiego 129 miljonów, żydów 8 miljonów, mahometan 171 miljonów, pogan 859 miljonów, w tem 138 miljonów wyznawców Brahmy i 486 wyznawców Buddy

Icek Papycek.

Szkic z dzieł

Henryka Sienkiewicza.

Był szlachcic pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, wielka fantazja; słowem, wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę.

W dobrach tych szczególniej śliczne miał lasy: starodrzew i sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelkiego rodzaju drzewa!

Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych, bowiem, czasach, jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż, Icek Papycek postanowił sobie kupić te lasy.

Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty, jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać.

Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to na pozór zdaje mi się, iż tego kupić poprostu niepodobna.

Wszelki rozum w obec takiej alternatywy przestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Papycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku, otwierają się drzwi pysznego numeru w Hotel Grand na bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Papycek.

Tak, tak. Icek Papycek w Paryżu z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak „par excellence“ swojskiego, któżby się nie uśmiał i nie ucieszył. Zerwał się:

— Icek, jak się masz?!

— Padam do nóg Jasnego Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot, jak zwyczajny żyd.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż poniejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasny Pana wielgą prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu dwieście tysięców franków, co odebrałem po żonie, po jej krewnych. Tyle pieniędzy, ja się boję Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, wzdrygał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Papycek wyjechał z Paryża i wkrótce pan o nim zapomniał.

W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III.

Byli to gentlemani, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety i polowali; jeździli na wyścigi, grali.

Grali nawet gracko

Raz, nasz rodak, skuszony może widokiem złota, może chcąc szczęścia spróbować, usiadł z nimi do gry.

Przegrał.

Przegrał 800.000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka.

Na drugi, czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Padam do nóg Jasnego Pana

— A! to ty. Co powiesz?

— Chciałem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy; miljony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Eh, jaśnie panie, co za las! Ce, ce!

— Czego ty masz kupować u obcych. Kup u mnie.

— No, jeśli Jaśnie Pan tanio sprzeda...

Reszty domyślacie się czytelnicy. Psycholog Icek Papycek znał grunt, na którym budował. Icek Papycek był wielkim dyplomatą, wielkim w swoim małym rodzaju wodzem. — Wygrał ogromną kampanję, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

Dziwni ludzie.

Bardzo zacni i poczciwi,
A żaden z nich nie ladaco,
Dziś są możni i szczęśliwi,
Zbogaceni własną pracą.
Krzywda ludzka ich nie plami,
Ni pamięć o złym uczynku,
I przeszedłszy w stan spoczynku,
Żyją pracy owocami. .
Ludzie mili, dobrzy, skromni,
Ale... w jednym dziwni względzie,
Gdy kto przeszłość im przypomni,
To już wróg śmiertelny będzie...
Wnet im bije krew do głowy,
Nie zważają wtenczas na nic!
I gotowi wprost od szklanic,
Do rozprawy honorowej...
Strzelać, rąbać, kłuć i siekać...
Ktożby przeszłość śmiał wywlekać...
— A cóż było w tej przeszłości,
Że wspomnienie ich tak boli?
Czyżby zbrodnia? namiętności,
Lub wybryki złej swawoli?
— Nie, broń Boże... Pan Serwacy
Nie przepędził życia marnie,
Dorobił się ze swej pracy...
A miał ongi trzy garbarnie.
Trzy podobno i to duże...
A dzisiaj się niemi brzydzi,
I kto wspomni mu o skórze,
Już go na śmierć nienawidzi...
Jan, aptekę miał przed laty
I dziś doszedł do intraty,
Lecz niechno się kto odważy,
I wspomni mu o jalapie...
To wnet skacze ci do twarzy,
Mało oczu nie wydrapie...
A Piotrowi, co handlował
Winem ongi, w swoim czasie,
Niechby tylko kto spróbował,
Wspomnieć beczkę... Hola! zasie!
Bo pan Piotr czuprynę zjeży,
Wąs nastroszy, zęby ściśnie,
A oczami z gniewu błyśnie,
A zasapi się, zaperzy!

Dziwni ludzie! — choć do rzeczy,
Zacni przecie z krwi i kości,
Ale z wstrętu do przeszłości
Nic ich nigdy nie wyleczy.

Świąteczny.

Na Riwierze francuskiej

wrażenie z podróży

przez *T. Jeske-Choińskiego.*

(Ciąg dalszy. Patrz Nr 1).

Oprócz przeróżnych rozbitków, trzymają się krawędzi stołów gracze fachowi, żyjący tylko z rulety. Ci nie palą się, nie ryzykują. Czekają spokojnie na równą grę, stawiają ostrożnie, a gdy zdobyli kilkadziesiąt franków, podnoszą się i nie wracają więcej do sali. „Profesorowie rulety“ nazywają ich krupierowie. Oni tworzą owe „systemy“, które rozchodzą się w tysiącach egzemplarzów, oni dają nowicjuszom wskazówki, rady i eksperymentują chętnie za cudze pieniądze.

Jest jeszcze inny rodzaj „gości“, odwiedzających Monte-Carlo. Kokoty jawne i tajne, złodzieje, rzezimieszkowie, zwolennicy łatwego zarobku wszelkiego rodzaju spieszą do Monaco, jak pobożny muzułmanin do Mekki. Gdzie się z rąk do rąk do późnej nocy przelewają tysiące, tam można coś „zarobić“.

I rzeczywiście „zarabiają“ jedynie właśnie te śmiecie, bo gdy nie ma innego sposobu, nie cofają się nawet przed pospolitą kradzieżą. Prawie każdemu, kto grał w Monte-Carlo, przytrafiło się, że mu nagle jakaś ręka zabrała stawkę. Złodziej upatrzył sobie stosowną chwilę i zgarnął zręcznie cudzą własność, mimo czujności krupierów i tajnej policji obojga płci, która pilnuje każdego stołu.

Świadomość, że się jest otoczonym złodziejami i tajną policją, nieprzyczynia się oczywiście do uprzyjemnienia pobytu w „Kasynie“. Po kilku godzinach, przepędzonych w sali gry, wychodzi się na świat Boży z niesmakiem, którego nie zaciera nawet widok wspaniałego krajobrazu. Gdziekolwiek się spojrzy, widzi się wszędzie twarze zmęczone, strawione gorączką. Wesoły śmiech nie rozlega się w ogrodzie, ludzie nie gawędzą w kawiarniach, nie używają z rozkoszą chłodu, który wieje od morza.

Cisza i pośpiech panują na Górze Karola. Rozumni uciekają czemprędzej z uroczej skały i nie patrzą po za siebie, bo ów stłumiony brzęk złota, działa jak pieśń syreny w legiendzie. Nieszczęsny, kto mu się oprzeć nie potrafi. Zginie bez ratunku, porwany wirem gry. Wiedzą o tem szafirowe fale, które już nie jednego śmiałka pokryły zimnym grobem, wiedzą góry, podające sobie często odgłosy wystrzałów rewolwerowych.

Takiej to instytucji protektorami są potomkowie rycerskiego niegdyś rodu, z tak brudnego źródła czerpią główne dochody swoje książęta Monaco.

Na wysokich górach, niby orły, gnieździli się rycerze niemieccy. Z poza lasów jodłowych spoglądali na równiny i rzeki, na zielony Nekar i poważny Ren, czatując na kupców, którzy mijali ich państewka. Nad jeziorami budowali słowiańscy dynastowie stolice swoje. Szumiały im sosny i szeptały ciche wody pieśń wieczorną. Żaden jednak wojownik Europy środkowej i północnej nie mieszkał tak wspaniale, jak królewięta nadriwierscy w ogóle, a Grimaldowie po szczególe.

Skała, na której stoi zamek monakijski, spada prawie pionowo do morza. Naga, groźna wyniosłością swoją, poważna wiekami, które uderzały w nią, a nie skruszyły, zdaje się być stworzoną na siedlisko wojowniczego, a dumnego rodu. Z szczytu jej ogarnia wzrok niezmierzoną przestrzeń szafirowych fal, lub zatrzymuje się na hardych ścianach Alp, które zamykają krajobraz od północy Z lewej strony widać Mentonę, wsuwającą się długim językiem w morze, z prawej Beaulieu i Villefranche.

Na tej skale siedzą od czasów niepamiętnych Grimaldowie, wywodzeni przez zapłaconych heraldyków od brata Karola Wielkiego, a pochodzący w istocie od patrycjuszów genueńskich.

Kiedy Grimaldowie, noszący tytuł książąt Monaco, dopiero od lat czterystu, zajęli skałę, na której składano ofiary niegdyś Herkulesowi *Monoecusowi* (ztąd nazwa miejscowości), nie wiadomo dokładnie. Tyle pewna, że przebywali na niej już przy końcu X-go stulecia. Podług *„L'Annuaire oficiel de Monaco“* żył Grymaldus I. około roku 950.

Było to przez kilka wieków dziedzictwo bardzo niewygodne, tędy bowiem szły różne burze wojenne. Na Riwierze wichrzyli przez dłuższy czas saracenowie, o ten uroczy pas ziemi staczała walkę sąsiednia Genua, walczyli o niego hrabiowie Prowancji i książęta inni. Tu szalała w końcu nienawiść między Gwelfami i Gibelinami.

Grimaldowie, aczkolwiek przystęp do nich nie był łatwym, gdyż broniło ich samo położenie, starczące za najważniejszą fortecę, ulegli dość często silniejszym napastnikom.

Wypierali ich z grodu przodków arabowie, prześladowali ich możnowładcy genueńcy, pokonywali panowie włoscy i francuzcy. Ale hardy ród, wypędzony jedną bramą, wracał drugą, zwalczony przemocą, zwyciężał podstępem i wytrwał w dziedzictwie praojców, aż do dnia dzisiejszego.

Butny to był bowiem i wojowniczy dom. Chociaż słaby i ubogi, mieszał się do wszystkich spraw politycznych wieków średnich. Kłócił się z sąsiadami, najeżdżał bliższych, chwytał, co się dało. W wojnach z królami: Neapolu, Sardynji, Hiszpanji i Francji, ruszał w pole z milicją swoją, w zatargach między Gwelfami i Gibelinami nie stał na uboczu.

Przykład panów oddziaływał na poddanych. Najzuchwalsi piratowie morza Śródziemnego pochodzili z Monaco, najwięcej kłopotu miała Genua z rozbójniczemi flotami niedostępnej skały.

W r. 1303 oddał Karol, król Neapolu i hrabia Prowancji, Monaco w zastaw za 100 uncji w złocie Spinolom. W trzy lata

Szczerość.



— Co teść znowu wyrabia, sam na rynek z koszykiem!...
— Ano, żona moja mnie posełała, bo twoja żona lubi ryby, dziś piątek...
— To czemuż nie idzie kucharka, albo, wreszcie, teściowa sama?...
— A bo ja wiem...
— Cóż teść wie? teść nigdy nic nie wie — założyłbym się, że pan nie wiesz, dlaczegoś się ożenił...
— Jak Boga kocham, tak nie wiem!?...

W księgarni.



— Chciałabym coś, proszę pana, coś z takich rzeczy, co nie psują, a bawią...
— Może coś z belletrystyki?...
— Może...
— Albo z podróży?...
— Może być z podróży, tylko nie po dzikich krajach, bo tam ludzie chodzą nieprzyzwoicie...

---

później zakradł się Franciszek Grimaldi, z przezwiska *Malizia*, w sam dzień Bożego Narodzenia, w przebraniu mnicha do zamku i wypędził z kilku zuchami przeciwnika. Od owego czasu, dodano do herbu Grimaldich dwóch zakonników, którzy podtrzymują tarczę z mieczami w ręku.

Właściwe, panowanie książąt Monaco rozpoczyna się dopiero w połowie XIV. stulecia. W tym czasie nabyli Grimaldowie za 1280 czerwonych złotych prawa Spinolów i dokupili do dziedzictwa swojego Mentonę i Roccabrunę, które należały dawniej do rodzin Ventich i Lascarisów. Wprawdzie ustępowali jeszcze kilka razy, to rzeczy-posolitej genueńskiej, to hrabiom Prowancji, lecz były to już tylko niepowodzenia przejściowe.

Usadowiwszy się na dobre na skale Herkulesa, nie próżnowali Grimaldowie. W domu bezpieczni. zaciągali się w służbę możniejszych sąsiadów i walczyli za sprawy cudze. Krew ich płynęła na wszystkich polach bitew krajów zachodnio-południowych, głos ich rozlegał się często wśród wrzawy wojennej rozkazem wodzów i komendantów. Książe Jan, od r. 1446 lennik Filipa Lisconti, pana Medjolanu i Genui, odniósł, jak wiadomo, świetne zwycięstwo nad Wenecją. Należał on do najsłynniejszych wodzów owego czasu.

Zniewieścieli z początkiem XVII. stulecia i Grimaldowie, jak cała szlachta francuzka i włoska. Mianowani parami Francji, zbogaceni dochodami różnych dygnitarstw, rozebrali się z twardych zbroi i przenieśli się do Paryża. Tu, przyodziani w miękkie atłasy, jeździli w złoconych karetach do Wersalu, stali się dworakami. Nie na polach bitew szukali sławy, lecz na posadzkach salonów i w buduarach pięknych kobiet. A jak imię ich rozbrzmiewało niegdyś głośno wśród wrzawy wojennej, tak było teraz równoznacznikiem powodzenia w miłostkach. Słynnej Mancini rzymskiej kochankiem, a rywalem króla angielskiego Karola II. był książe Ludwik de Monaco, poseł francuski przy stolicy Apostolskiej od r. 1698. Mimo tego rozpieszczenia, nie zapomnieli Grimaldowie o dawnej swego rodu dzielności, gdy się sposobność zdarzyła. W krwawym dniu pod Fontenoy, walczyli dwaj książęta Monaco: Honorjusz i Maurycy. Drugi z nich stracił nogę w tej potrzebie, a pierwszy padł później na polach Raucour na czele swego regimentu, raniony w głowę.

Swobodniejsze życie Grimaldów skończyło się z wielką rewolucją. Dekret konwentu z dnia 15. lutego 1793 r. wcielił księstwo Monaco do rzeczy-pospolitej, a samego księcia wtrącił do więzienia, z którego go dopiero dziewiąty termidora uwolnił. Głowa jego synowej padła kilka dni przedtem, pod nożem gilotyny.

Napoleon I. nie lubił Grimaldich i okazywał im tę niechęć jawnie. Dopiero traktat wiedeński uszanował prawa odwiecznego rodu i wrócił mu przywileje udzielne. Obecnie zostaje Monaco pod protektoratem Francji, która nabyła w r. 1861 od dzisiejszego księcia Mentonę i Roccabrunę za 4 miljony franków.

Chude to niezmiernie dziedzictwo, to udzielne państwo Grimaldich. Dwie nagie, głęboko w morze wsunięte skały, z których jedna jest właściwem Monaco, a druga Monte-Carlem i wąski pasek skał nadbrzeżnych *(Condamine)*, oto cała monarchia, obejmująca zaledwo 15 kilometrów kwadratowych. Na tej maleńkiej przestrzeni siedzi obecnie 5000 mieszkańców.

W pierwszej połowie bieżącego stulecia przynosiło księstwo Monaco władcom swoim 15.000 franków rocznego dochodu. Za takie pieniądze trudno bawić się w suwerena, który potrzebuje gwardji przybocznej, kilkunastu choćby żołnierzy, urzędników, służby itd.

Ubóstwu Grimaldich zawdzięcza prawdopopobnie publiczny dom gry na Monte-Carlo istnienie swoje. Panujący obecnie w Monaco Karol III. potomek starodawnego rodu po kądzieli (po mieczu wygasł dom ten w r. 1731, zostawiając prawa swoje i dziedzictwo Leonardowi de Goyon-Matignon, hr. de Thorigny, mężowi ostatniej księżniczki Grimaldi, który przyjął nazwisko żony), pragnął powiększyć szczupłe dochody miniaturowego państewka, co mu się też rzeczywiście udało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Dawno nie grana *Rodzina Furjozów*, farsa na gruby kamień, miejscami piekielnie naiwna — dała sposobność zaprezentowania się po raz pierwszy panu Trapszy przed lwowską publicznością. Pan Trapszo grał tego, co się „za miesiąc po raz trzydziesty rodzi" — grał z niezaprzeczoną rutyną aktorską, z talentem i z pewną artystyczną nonszalansją — ale w tych, co się patrzyli na lwowskiej scenie na grę innych artystów w tej roli, nie zatarł tego, co widzieli, ani nawet nie zmusił do porównywania... Trzeba, jednak, poczekać na dalsze występy.

Panna Czaplińska zdobyła sobie zasłużony laurowy listek w roli Ewuni — scenę podchmielenia odegrała ślicznie...

P. Feldman objął komiczną rolę doktora Knopa i wyszedł z niej po za granice zwykłej gry.

Prześliczna, tryskająca życiem gra pani Kwiecińskiej, w dawnej i znanej swoj roli Elli, przyjmowana była grzmiącymi oklaskami, równie, jak i p. Fiszer, który swoim przepysznym profesorem „spokojnym, jak baranek". utrzymywał publiczność w bezustannym paroksyzmie serdecznego śmiechu. Inne role pozostały, jak dawniej i, naturalnie, odegranie ich nic nie pozostawiało do życzenia — a więc brali jeszcze udział panie: Cichocka, German i Piasecka, oraz panowie: Walewski i Starzewski.

Niebieska grota, grana na naszej scenie, jest to 3 aktowa wesoła farsa z angielskiego tłómaczona, w której szczególnie akt trzeci posiada wiele zabawnych scen i sytuacyj. O wartości literackiej tego rodzaju utworów mowy być nie może — główna rzecz, aby bawiły, a ponieważ *Niebieska grota* spełnia ten obowiązek, a do tego spełnia go dosyć uczciwie, bo pomimo wesołości i pobudzania do serdecznego śmiechu, nie posługuje się tłustymi konceptami i skandaliczną treścią — więc należy jej się poczesne miejsce wśród fars... dobrze zasłużonych... W krotochwili bardzo wiele znaczy całość gry, która musi iść żywo, równo, potoczyście — tak też grają u nas *Niebieską grotę*. a to jej wychodzi na... artystyczne zdrowie. Ton farsy utrzymują głównie trzy postacie męskie, które spoczęły na ramionach pp. Zboińskiego, Kwiecińskiego i Wysockiego. P. Zboiński odegrał tak wybornie poczciwego, miękkiego i cznłego radcę policji, że szczerze mu powinszować należy; p. Kwieciński dotknął się tylko palcami swojego talentu postaci sangwinicznej młodego narzeczonego i postać ożywiła się ślicznym rysunkiem; p. Wysocki młodego chłopaka grał z życiem i artystyczną werwą. Z pań większe role, chociaż dość niewyraźne, grały, jednak, bardzo starannie panie: Nowakowska i Pysznik. Mniejsze role nie bardzo, zresztą, wdzięczne, grali pp.: Hierowski, Dębicki, Szobert, Piasecki. Święcicki i inni, oraz pani Piasecka i .. debiutantka panna Czechowiczówna. Ta ostatnia miała małą rolkę nauczycielki muzyki, która więcej uczy młodego chłopaka całować, aniżeli grać... Panna Cz. wyglądała powabnie. o grze jej, jednak, nic powiedzieć nie można, bo rolka była tak drobna i tak bezbarwna, że z pustego i sam Salomon nie naleje, a cóż dopiero zalękniona debiutantka...

Dnia 27. września przedstawiono u nas po raz pierwszy 4. aktową operetkę Millicköra p. t. *Vice-Admirał*. Zaledwie wspomnieć należy, iż bardzo licznie zebrana publiczność klaskała i śmiała się głusząc nie raz energiczne bębny w orkiestrze, które w *Vice-Admirale* wiele mają do roboty. Nowa operetka, pomimo pewnych reminiscencyj, niepozbawiona jest świeżości, wdzięku i lekkości właściwej Milicköröwi. Niektóre nawet numera są bardzo ładne, melodyjne i powabne. Pomaga też muzyce libretto, które tym razem, jest zręczne i dowcipne, a przytem przekład polski dokonany i przerobiony przez p. Kiczmana, jest wyborny.

Wystawienie tej operetki nic nie pozostawiało do życzenia, tak pod względem samej wystawy, jakoteż zbiorowych scen i chórów, które pod umiejętną i utalentowaną batutą pana Jareckiego, dzielnie się spisywały.



— Panienka gdzie tak dąży?...
— A panu co do tego!...
— Jabym może towarzyszył...
— O widzicie go, taki stary — jemu do amorów!...
— Stary... stary — w starym piecu, właśnie, djabeł pali...
— No, to mu pan powiedz, żeby poszukał innych drewek do palenia, bo ja nie do pańskiego pieca...

Główny nerw komiczny, stanowiła przepyszna gra pana Skalskiego w roli fałszywego admirała. Samo pojawienie się na scenie tego wybornego komika, usposobiało publiczności do ogromnej wesołości... Komizm Skalskiego — to prawdziwy dar z łaski bożej — mogą mu go pozazdrościć komicy „czystego" dramatu „na stanowiskach"...

Pani Kasprowiczowa w roli wdowy po kapitanie okrętu, zbierała ogromne oklaski za grę energiczną i charakterystyczną. Doskonałym grandem hiszpańskim, czy tam hrabią, był p. Myszkowski, a panie: Radwan i Skalska ślicznie odśpiewały i odegrały swoje partje — pomagała im, o ile sił i temperamentu starczyło, pani Dina.

Dość pobieżnie traktowaną przez kompozytora rolę viceadmirała — grał starannie, a miejscami efektownie, p. Laskowski

Role pomniejsze w grze pp. Koncewicza, Kiczmana, Gasińskiego i innych, wyszły dobrze.

Stawka na loterji życia.

Powieść

tłomaczona z angielskiego.

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 1)

ROZDZIAŁ II.

Henryka Charteris w niczem nie była podobna do swej przyjaciółki i różniła się od niej nietylko powierzchownością, ale i wszystkiemi skłonnościami. Była to piękna blondynka, średniego wzrostu, posiadająca wiele więcej, niż Katty, dóbr tego świata, a najpierw: wspaniały dwór, leżący o trzy mile od Blount Manor, męża, dwóch ślicznych synków i duży majątek. Uwielbiana przez męża, zawsze otoczona kołem adoratorów, którzy nie obchodzili ją szczególniej, a których traktowała trochę po koleżeńsku, z dumą młodej mężatki, która wie, że jej to wolno, miała jedno tylko silne upodobanie: lubiła szalenie jazdę konną i polowanie. Mogła bez zmęczenia cały dzień uganiać się po polu, nigdy nie wybierając drogi, z jednaką zręcznością przesadzając płoty i rowy; celnie strzelała, starając się przedewszystkiem, aby nigdy nie wracać do domu bez zdobyczy. Zresztą, była to kobieta nie zła, bardzo dobrego serca i dobrego zawsze humoru, co, jeżeli nie jest cnotą, to w każdym razie przymiotem bardzo pożądanym, nietylko w towarzystwie, ale i w kółku rodzinnem, co dla pani Henryki znaczyło bardzo wiele, bo mało bywała i zadawalniając się tem, że ją samą licznie odwiedzano, ona już siedziała chętnie w domu, gdzie nie nudziła się nigdy. Przyjaźń jej z Katty Blount była dawną i serdeczną. Karol Charteris, mąż Henryki, był prawdziwym książkowym molem; uczony przyrodnik spędzał dnie całe w swej pracowni, zapełnionej od góry do dołu zasuszonemi ziołami, pokłótymi owadami, brzydkimi gadami i zżółkłymi zwojami pargaminu. Przepędzał on tu pół życia, mało kogo wpuszczając do tego przybytku nauki, gdzie tylko żonie dozwolonym był wstęp częstszy i gdzie też przychodziła nie rzadko, a zasiadłszy wśród stosu ksiąg, pięknością swą, jak promieniem słonecznym rozjaśniała posępność pokoju i wesołym śmieszkiem przerywała zadumy uczonego pracownika, którego kochała szcze-

rze i gorąco. Potem znów biegła do psów, do koni, a Jerzy Charteris podwajał pilność w pracy, aby wynagrodzić czas stracony dla ślicznej żonki.

Taką była przyjaciółka Katty i do niej to, wybrała się teraz rozżalona i niespokojna miss Blount. Jadąc w smutnem zamyśleniu przez zielone łany i gęsty lasek, tak wązką ścieżyną, iż gałęzie drzew muskały ją po głowie, nie mogła zapomnieć o Cravenie, może nawet żałowała swej surowości. Może... kto to wie, co snuje się po główce młodej dziewczyny?

— Tito, moja najdroższa Tito, tyżeś to naprawdę? wołała radośnie pani Henryka, zbiegając pospiesznie z kamiennych schodów ganku naprzeciw Katty. — Jakże cieszę się twojem przybyciem. Chodź, nie puszczę cię już przez cały dzień do domu, bo wyobraź sobie, skazana jestem na straszną nudę: mój pan znalazł jakiś owad o czterdziestu nogach i odpowiedniej ilości skrzydeł, a w obec takiej zdobyczy, milkną już wszelkie obowiązki dla żony. Na polowanie dziś nie jadę, bo słońce dogrzewa, a nie chciałabym znów opalić się przed balem u Tontonów. Ale co tobie, najdroższa? Czy zaszło coś nowego, bo jesteś taka zachmurzona?

— Nie. nic, odrzekła jej Katty; — przeciwnie, przywożę dobre wiadomości. Oto ojciec po burzliwej sprzeczce uległ i dał mi dziesięć funtów na nową suknię, a ja tylko czuję coś jak wyrzut, żem go tak niesprawiedliwie posądzała o nieczułość.

— To jeszcze niczego nie dowodzi, — mówiła wesoło pani Harry, prowadząc swego gościa do wspaniale urządzonego buduaru. Ojciec ma chyba jakieś zamiary, bo inaczej nie mogę sobie wytłumaczyć jego rozrzutnej hojności, choć przyszła trochę późno, bo ja już zamówiłam ubranie dla ciebie. Ale nie patrz tak groźnie, Tito, przecież cię nie zmuszam, abyś je przyjęła...

— No, opowiedz, w jakiż to sposób słodkie uczucie miłości rodzicielskiej wzruszyło serce twego ojca?

— Może przed godziną dopiero. Rano prosiłam go o pieniądze, lecz mi odmówił stanowczo i wyszedł w pole, gdzie z okna widziałam go razem z kapitanem Barringtonem, rozpędzającego stada kuropatw. W pół godziny potem, przyniósł mi dziesięć funtów.

— Ach jestem już na tropie, zawołała wesoło piękna pani. — Barrington udzielił ojcu ważnej wiadomości, że wczoraj wieczorem sir Marek Warenne powrócił do domu i prawdopodobnie będzie na balu u Tontonów, a to pożądana byłaby partja dla pięknej córki szanownego pana Blount. Ale jakże ty się chmurzysz, Tito, nawet ci brzydko z tą groźną minką i lękam się, czy już nie obmyślasz za ten mój niewinny żart zemsty na sir Marku. On przecież nie należy do spisku i może nie wie o istnieniu miss Blount, umiejącej takie gniewne płomienie rzucać ze ślicznych oczu A, doprawdy mogłabyś zdobyć się choć na trochę wdzięczności dla niego. za owe przybycie tak w samą porę, bo inaczej pewnie nie byłabyś tańczyła na najświetniejszym balu w naszej okolicy.

— Gdybym wiedziała, że choć coś jest w tem prawdy, — odrzekła prawie gniewnie, to...

— Moja droga, tylko nie rób z góry żadnych szalonych postanowień, proszę cię Sir Marek jest moim przyjacielem, spotkaliśmy się przeszłego roku w Szwajcarji, gdzie raczył zaszczycać mnie swymi względami i przepędziliśmy razem dwa miesiące w podróży. Lubię go bardzo i prowadzę z nim nawet dość ożywioną korespondencją. Pomyśl tylko, że jest to człowiek mający czternaście tysięcy funtów rocznego dochodu, stare nazwisko, wspaniały zamek i czyż można taką dostojną osobę obrażać nawet myślą?

— A przytem jest stary i brzydki, zapomniałaś pewnie objaśnić, — przerwała jej Katty.

— Ani stary, ani brzydki: przeciwnie, piękny jak Apollo, choć wcale nie boski, miły i inteligentny Jeżeli ty jesteś mądrą dziewczynką, zapuścisz wędkę na tę wspaniałą rybę.

— Doprawdy Henryko, lękam się, czy nie odstąpił cię naraz zdrowy rozsądek — zawołała niecierpliwie mis Blount, — masz chęć zabawić się w swaty, jak stara jaka jemość i chyba przyszło ci to z nudów.

Henryka, roześmiawszy się wesoło, pociągnęła ją za sobą na górę, aby pokazać swoje ubranie, przygotowane na bal i obmyślić coś ślicznego dla Tity. Po długiej i burzliwej rozprawie stanęło na tem, że miss Blount wystąpi w żółtawej, bursztynowego odcieniu gazie z atłasem, co wybornie przypadać musi do ciemnej jej cery. Potem obydwie przyjaciółki naradziły się nad podstępem, przez który pani Henryka mogłaby zwabić męża na śniadanie, lecz poważne te narady przerwał naraz tentet konia, rozlegający się po zwirowanej ulicy dziedzińca. Ponieważ budoar pani Henryki był od frontu, mogła więc przez okno przyjrzeć sie gościowi i z niemałem zdziwieniem poznała w nim sir Marka Warenne!

— Tito, — zawołała — wiesz kto przyjechał? Oto nasz rycerz złotej osrogi, o którym rozmawialiśmy przed chwilą. Jakiś los szczęśliwy go przyprowadza, ani się spodziewa, co tu mam dla niego! Ale co ci jest dziecko? — zapytała, patrząc niespokojnie na miss Blount, która blada i jakby zastraszona stała na środku pokoju. I nagle, jakby uderzona nową myślą zapytała:

— Katy, powiedz mi najdroższa, czy ty przypadkiem nie kochasz się, a raczej, czy jaki silniejszy już węzeł, dane słowo, nie łączy cię z Robertem Craven?

— Cóż znowu chodzi ci po głowie? — odparła Katty prawie gniewnie. — Wiesz przecież, że Robert jest tylko moim bratem... Chodźmy, dodała z widocznym wysiłkiem — nie traćmy czasu, jeżeli, według twego zdania, możemy go użyć pożyteczniej. Proszę cię, pokaż mi swego bohatera.

I Katty wsunęła pod ramię przyjaciółki swoją maleńką rączkę, którą pani Henryka przyjaźnie uścisnęła, nie pozbywając się jednak wzbudzonego podejrzenia, które zachmurzyło nieco jej gładkie czoło.

Obydwie przyjaciółki weszły tak do saloniku, gdzie czekał już sir Marek Warenne. Po zamienieniu pierwszych ożywionych wyrazów powitania, rozmowa zaczęła się rwać, nie potrzymywana niczem przez Katty, która ku wielkiemu zmartwieniu pani Henryki, prawie ust nie otwierała. — Przedstawia mu się kapryśnica w niekorzysnem świetle — myślała, z gniewem prawie spoglądając na Katty, ale niczem nie mogła jej ożywić i przyprowadzić do zwykłego, swobodnego układu i miłej rozmowności. Wybawiło ją z kłopotu podane śniadanie. Oddaliła prędko służbę, usiłując wytworzyć co najprędzej miłą, ciepłą atmosferę przyjacielskiego kółka, aby przełamać tym sposobem chłód Katty.

— Spodziewam się. że teraz dłużej nieco zabawisz w naszej okolicy, sir Marku? spytała przyjacielsko pana Warenna.

Wybrałam się tu z zamiarem osiedlenia się na stałe — zabrzmiała odpowiedź. Podróże straciły już dla mnie powab nowości, jestem zmęczony tą ciągłą zmianą miejsc i osób, zapragnąłem też spokoju rodzinnego domu.

— Bardzo chwalebne postanowienie, czy tylko nie zatęsknisz pan za włoskiem niebem, a głównie za pięknością włoszek?

— Czar włoskich piękności już mnie nie nęci, a nawet mogę powiedzić, że tak uroczych kobiet, jak na północy, nie spotkałem nigdzie w krainach słonecznego południa.

Mówiąc to, mimowolnie podniósł oczy na Katty, spojrzeniem tem biorąc jakoby na świadectwo jej śliczną twarzyczkę.

— Cóżto za pochlebne zdanie dla naszej starej Anglii, zawołała pani Henryka. — Cieszę się tem więcej, że pochodzi ono z ust wybornego znawcy w tym względzie. Czy słyszałaś Tito słowa sir Marka?

— Wydały mi się one bardzo rozsądnemi, odrzekła piękna panna, ledwie podnosząc oczy od talerza.

— Niech milord pozwoli mi jednak zrobić sobie jednę uwagę, iż kobiety północy nie lubią, gdy w obec nich toczą się porównawcze rozprawy o ich piękności — dodała surowo.

Pani Henryka gniewnie zmierzyła wzrokiem przyjacilkę, uroczyście sobie przyrzekając, że nie daruje jej tego i skoro pozostaną same, natrze jej uszów jak nigdy.

— To chyba w ostatnich latach zmieniło się usposobienie pań naszych — odparł grzecznie lord Warenne. — Dawniej nie wyróżniały się one niczem od ogółu kobiet tego świata, lubiących się w składanych im hołdach. Jeżeli jednak tak jest, jak pani, mis Blount, utrzymujesz, to proszę gorące moje uwielbienie dla swych rodaczek uważać za niebyłe.

I odtąd już ciągle zwracał się do pani Henryki, usługiwał jej, podając talerze i przysmaki, które mogła lubić, jak sądził. Raz tylko jeszcze zapytał uprzejmie Katty:

— Czy nie czujesz się pani obrażoną na mnie?

— Obrażoną? — powtórzyła, a wyraz tak dziecinnego zadziwienia odbił się na jej pięknej twarzy, zdobiąc ją nowym urokiem, że sir Marek gotów był powtórzyć słowami to, co przed chwilą jego oczy powiedziały jej przy owym komplemencie dla angielek, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Taką mu się wydawała i w tej chwili jeszcze, choć Henryka myslała z żalem iż jej Titta dziś jest tak brzydka i posępna, jak dżdżysty dzień jesienny.

Po śniadaniu mis Blount podniosła się mówiąc:

— Muszę cię pożegnać, droga Harry, bo ojciec i Robert będą niepokoić się o mnie. Jutro pojedziesz ze mną do Belton, najdroższa?

— A rozumie się, że pojadę odpowiedziała pani Henryka, całując serdecznie przyjaciółkę. I razem z sir Markiem wyprowadzili ją na ganek, przed którym jeden ze służących dworskich trzymał już konia mis Blount.

— Do zobaczenia Tito. Ale ty, jak widzę, wybrałaś się sama, bez grooma. Doprawdy, że to zbytnia już śmiałość odwa-

żać się na taki kawał drogi, nie mając nikogo przy sobie.

— Prawda, że to zuchwalstwo godne tylko tak dzielnej, jak ty amozonki — odpowiedziała Katty wesoło.

— Czy pozwolisz pani odprowadzić się do domu? — zapytał lord Warenne z nizkim ukłonem. — Wtedy pani Henryka będzie już zupełnie uspokojona o bezpieczeństwo pani.

— Dziękuję milordzie — odrzekła Katty, wspierając przy dosiadaniu konia maleńką swą nóżkę na jego dłoni. — Nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości, a przytem lubię samotną przyjazdkę.

— Ha, jeżeli tak, to byłoby natręctwem narzucać pani towarzystwo moje — odrzekł Warenne, podając jej do rąk uzdeczkę, podczas gdy Henryka słała gorące spojrzenie niesfornej dziewczynie.

— Żałuję niezmiernie, że posiadasz pani tego rodzaju upodobanie w samotności, bo byłoby to dla mnie wielką przyjemnością, odprowadzić panią do Blount Monor — rzekł Warenne bardzo grzecznym głosem. a Katty zarumieniła się. Pomyślawszy, iż może wypadałoby być grzeczniejszą dla grzecznego i dobrze ułożonego człowieka, odrzekła wesoło i z uśmiechem wcale miłym że jeżeli tak, to nie chce pozbawiać go pożądanej przyjemności.

— To pozwoli mi pani osądzić dopiero — odrzekł sir Marek, trzymając się tego samego, co ona tonu, lekkiej wesołości. W duszy czuł przecież pewien rodzaj wdzięczności dla pięknej panny, że nie minęła go owa przyjemność.

I wkrótce puścili się oboje długą, kasztanową aleją, odprowadzeni rozpromienionem spojrzeniem pani Henryki, która miała ochotę klaskać w ręce z radości i zawołać: wygrana!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drobnostki humorystyczne
z różnych kątów.

Przy ugodzie.

— No, moja kuchareczko, czy tylko dobrze umiesz gotować?...

— Proszę pani — miałam narzeczonego strażaka, był chudy, jak wiór, a potem umarł na otłuszczenie serca...

Wyjątek z poematu.

Słońce swe blaski rozsiewało blade:
Ona mówiła:
— Zostań!
A ja:
— Jadę!
Dzisiaj, gdy jesień roztacza emblema,
Ja mówię:
— Kocham.
Ona:
— Głupich nie ma!...

W strzelnicy.

— Ta pani pięknie strzela!

— Co tam, żebyś ty widział, jak moja żona strzela! — już mi wszystkie włosy z głowy postrącała.

Skromny Oleś.

— Kiedy ty się utemperujesz Olesiu? przecież ja za ciebie nie mogę ciągle długów płacić.

— Ja nie żądam ciągle, — niech papa płaci tylko raz na pół roku.

Praktyczne wiadomości.

Nowy środek dezinfekcyjny. W Instytucie hygienicznym w Berlinie, p. Laplace doszedł, że zwykły sprzedażny kwas karbolowy (25° pr.) w pomięszaniu z kwasem siarczanym, daje tani i jednocześnie bardzo ważny środek dezinfekcyjny, który swem działaniem o wiele przewyższa większość do tej pory używanych w tym celu medykamentów. Ta okoliczność zasługuje na szczególniejszą uwagę w tym razie, kiedy wypada dezinfektować obory, stajnie, kloaki i t. p., gdzie potrzebna duża ilość materjału dezinfekcyjnego.

Wyżej wspomniana mięszanina przygotowuje się w następujący sposób: wlewają w zwykłe gliniane, lub szklanne naczynie, równe na objętość ilości obu kwasów, t. j. siarczanego i karbolowego, nie oczyszczonych, starannie je mięszają i zagrzawszy nieco mięszaninę, chłodzą ją, poczem otrzymuje się czarny, jednostajny płyn, który bardzo łatwo rozpuszcza się w wodzie. W czteroprocentowym roztworze takiego karbolowo-siarczanego kwasu, bacyle zarazy syberyjskiej giną w 48 godzin, podczas gdy dwuprocentowy kwas karbolowy, zarówno jak zachwalana kreolina, nie wywierają wpływu.

Ponieważ zwyczajny nieoczyszczony kwas karbolowy, zarówno jak i siarczany, w handlu nadzwyczaj są tanie, więc i sam środek, gdyby nawet przygotowanie go przeszło do rąk aptekarzy, pozostanie zawsze najtańszym i jednym z najlepiej zastosowanych do używania w budynkach inwentarskich. Używać go trzeba w cztero, lub pięcio-procentowym roztworze, t. j. brać na 1 n. p. butelkę tego płynu 20—28 butelek wody i tym roztworem obmazać dużym pędzlem ściany, sufit i wszystkie znajdujące się w budynku przedmioty, starając się, by przedtem czysto były wymyte.

Jak niszczyć robactwo Za granicą, we Francyi naprzykład, urzędy gminne duże kary nakładają na tych, co pozwalają robactwu rozmnażać się u siebie i przez to nietylko sami tracą, ale narażają na straty innych, — gdyż robactwo rozłazi się po sadach i ogrodach sąsiednich.

Nie bardzo łatwo wytępić już wylęgłe, ukształtowane gąsienice, które objadają drzewa i ogrodowizny w ogrodach, szczególniej zaś kapustę. Są sposoby i na to, nawet dość skuteczne. Trzeba naprzykład, przystawiwszy drabinę do drzewa, bardzo wczesnym rankiem starannie wszystkie rozgałęzienia, w których zbierają się gąsienice, obmyć naftą, albo też wodą zaprawioną odwarem tytoniowym. Przytem, całe drzewa i krzewy należy tak zaprawną wodą mocno spryskać; jeżeli kto nie ma sikawki, może to zrobić zwyczajną polewaczką. Tak samo można wytępić meszkę z kapusty i buraków, — tylko nie trzeba żałować, czy to nafty, czy odwaru tytoniowego. Niektórzy znów przywożą z lasu worki pełne rozkopanych mrowisk, które, rozumie się, wraz z mrówkami zabierają i tem posypują zagony. Mrówki pożerają w krótkim czasie meszkę — i kapusta rośnie zdrowa.

Gorzej jeszcze bywa z jajeczkami owadów, z których dopiero wylęgnie się szkodliwe robactwo. Te koniecznie usunąć i tępić należy, jeżeli chcemy na przyszły rok gorszej jeszcze klęski uniknąć.

Przedewszystkiem, trzeba sobie przygotować duży, stary garnek i ze środka od połowy, szczególniej zaś przy brzegach wysmarować go dobrze gęstą smołą. Wybrawszy dzień najlepiej pochmurny, aby słońce nie przypiekało (ale też bez deszczu), należy z każdego drzewa raz koło razu pozbierać liszki i jajeczka motyle. Liście, na których złożone są jajeczka, zrywać; młode latorośle przy końcu pędów, na których najwięcej bywa robactwa, oczyścić starannie, — a owe pierścionki z jajeczek, któremi cieniutkie gałązki są oblepione, drewnianym nożem dobrze oskrobać. Gąsienice, jajeczka, zarodki, jednem słowem — wszelkie robactwo trzeba wrzucać do owego garnka wysmarowanego wewnątrz smołą. Robactwo nie ucieknie, nie porozłazi się ztamtąd, bo je smoła przytrzyma. Gdy robota się skończy, trzeba do garnka wlać ukropu, a potem już nieżywe, sparzone robactwo można dać kurom i kaczkom, które chciwie taką karmę pożerają

Nie wystarczy jednak bynajmniej, choćby najstaranniejsze zebranie robactwa i jajek owadów z samych drzew owocowych, jeżeli w ogrodzie rosną inne drzewa, czy krzaki, nie wydające wcale owocu i te zostawimy nietknięte. W takim razie cała robota na nic się nie zda, gdyż robactwo z drzew dzikich porozłazi się po owocowych, albo też spadnie na ogrodowizny. Chcąc klęsce w zupełności zapobiedz, trzeba odżałować trudu i każde drzewo, każdy krzaczek obrać starannie z robactwa. Dopiero wtedy można być pewnym, że się zapobiegło w zupełności złemu.

Maść od oparzenia. Wziąść szklankę mocnego ługu z popiołu drzewnego, szklankę białego wina, oraz szklankę owczego łoju topionego; to wszystko zmieszać razem i gotować, aż się dobrze wygotuje, tak, że tylko jedna szklanka zostanie; poczem złożyć do słoika i chować w suchem miejscu. Gdy się kto oparzy, trzeba rozsmarować ową maść na płótno i kłaść na ranę; jeżeli rana zbyt wielka, to roztopić trochę maści i smarować piórkiem, a potem owijać płótnem. Taka maść jest doskonałem lekarstwem na oparzenie. Ale w pierwszej chwili oparzenia, kiedy maści jeszcze nie ma, to trzeba żółtą glinę zarobioną wodą przykładać. Nawet jeżeli rana jest zadawniona, głęboka, rozgnojona, to i wtedy maść ta zagoi, tylko trzeba zakładać ranę strzępkami z płótna, tak zwaną szarpią, albo też watą leczniczą. Maścią ową trzeba smarować dwa razy na dzień, — rano i wieczór. Waty leczniczej dostanie się w każdej aptece.

Lekarstwo na chorobę ziemniaków. Na tę chorobę, która jest jedną z największych klęsk ekonomicznych, wynalazł Aimé Girard środek zaradczy, ma nim być roczyn z sulfatu miedzi. Dwa kilogramy tegoż i jeden kilogram wapna, wystarczają na hektar chorych ziemniaków, a koszta nie przenoszą 37 do 40 franków. P. Aimé twierdzi, że wszystkie doświadczenia czynione na wielką skalę, nietylko potwierdziły skuteczność środka leczniczego, ale przyczyniły się nawet do urodzajności i wydajności ziemniaków. Doradza on używanie tego roczynu, nietylko jako leczniczy, ale też jako zapobiegawczy środek w okolicach, gdzie zaraza nie pojawiła się jeszcze, lecz gdzie istnieje jej prawdopodobieństwo.

Prof. Walraf w Niemczech, wynalazł podobno sposób pędzenia okowity wprost z ziemniaków bez destylacji. Jak powiadają, przyrząd do tego ma być bardzo prosty; naczynie z dnem płaskiem, dziurkowatem, które stawia się na rurach, a włożywszy ziemniaki, które zlewa się przyrządzonym do tego ekstraktem chemicznym, nakrywkę przyśrubowywa się do dna; poczem bezzwłocznie zaczyna ciec okowita zupełnie czysta, która wydobywa się działaniem owego ekstraktu. Gdyby wynalazek ten okazał się prawdziwym, to mógłby nastąpić wielki przewrót, nietylko w gorzelnictwie, ale nawet w skarbowości, gdyż w wielu państwach głównem źródłem dochodów skarbu jest akcyza od trunków.

Pan Florjan Grubiński z Warszawy wynalazł machinę do wyorywania i oczyszczania z ziemi ziemniaków. Machina poruszana siłą jednego konia, zbudowana jest na trzech kołach, umieszczonych na jednej linii, z których dwa utrzymują powożącego, trzecie zaś porusza mechanizm, zagłębiający się w ziemi. Próby tej machiny, zbudowanej w fabryce Refelda i Dubeltowicza, były dokonane w jednym z majątków ziemskich pod Warszawą.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Panu Prenumeratorowi w Chicago. Umieszczony w Nrze 36. pisma wychodzącego w Toledo p. t. *Ameryka* wiersz, zatytułowany: „Toledzianka“, jest przemieniony z „Warszawianki“ wiersza, który drukowaliśmy przed paru miesiącami w „Gońcu i Iskrze“. Taki bandytyzm u nas nie jest tolerowany, a odzieranie pracującego piórem z jego sławy, jest z gruntu złe.

Pan Poeche w Krakowie. Stanowczo oświadczamy, że pod żadnymi warunkami, ani dłuższych, ani krótszych powieści nie potrzebujemy, bo miejsce na nie w „Gońcu i Iskrze“ na długo zajęte, a taka rzecz, jak przerobiony, czy przetłomaczony *Geniusz miłości*, według naszego zdania, pozbawiony jast wyższej wartości literackiej, a swoją drogą, dość skandaliczny. — Rękopism odesłaliśmy pocztą.

Po powrocie.



— Widzi pan, jak wyglądam po powrocie z wód... A pan jakiś mizerny — co panu jest?...

— Ja także byłem u wód, ale z żoną — i to mi widać nie posłużyło...

Na gorącym uczynku...



— Aha! złapałem was na gorącym uczynku... Teraz, albo starosta, albo kapucyn!...

— Tatku, ależ pan Alfons ma najuczciwsze zamiary...

— Nic, nie szkodzi — przetrzepię mu trochę skórę — będzie z niego lepszy mąż...

Nie ma obawy...



— Wiesz? mąż mój mnie zdradza...

— Dla kogo?...

— Ależ on ma różne znajomości...

— To nic niebezpiecznego... Wtedy źle, jak mąż zdradza żonę dla jednej innej kobiety...

Nadesłane.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie **Dra Freysingera w Lisku.** Ogłoszenie to dotyczy szczepienia ospy, rzeczy, jak wiadomo, niezmiernie ważnej dla każdej rodziny. Dr. Freysinger pod każdym względem zasługuje na publiczne zaufanie, a nawet wdzięczność, gdyż jako specjalista lekarz daje zupełną rękojmię zdrowej krowianki. Pomijając już to, że ta krowianka na ostatniej wystawie krakowskiej, odznaczona została medalem rządowym, sama czynność wyrabiania jej przez fachowego lekarza i do tego tu w kraju, jest niezmiernie ważnym szczegółem. Dla tego wszystkim rodzinom gorąco zalecamy, aby po krowiankę do szczepienia ospy swoim dzieciom, udawali się wprost do *Dra Freysingera w Lisku*, a mogą być spokojni o zdrowie swoich dzieci. Bliższe szczegóły znajdzie każdy w ogłoszeniu. 4800 st.—14

W Korolówce pod Kołomyją założony i otwarty został z dniem 15. maja 1890 r. wielki browar, w którym wyrabia się piwo najlepszej jakości, tak zwane „piwo kołomyjskie", a mianowicie „Leżak, piwo szynkowe". Od dłuższego czasu w okolicy Kołomyi dawał się czuć brak piwa dobrego, aż nareszcie p. Sejk otworzywszy browar w Korolówce, wyrabia piwo zdrowe i przepyszne w smaku; niniejszą wiadomość podajemy dla dobra Publiczności, gdyż powyższa firma zasługuje na uznanie i poparcie. 5141—6—4.

Emil Schirn w Białej, poleca swoją od 30 lat istniejącą i najlepiej renomowaną fabrykę apretowania, w której wszelkie roboty wykonują się najsumienniej, rychło i po cenach najniższych. 4999 16—11

Pierwsza w Galicji krajowa Fabryka

BRACI KAMSLER

w Podgórzu pod Krakowem.

Na ogłoszenie tej fabryki zwraca się szczególną uwagę P. T. rolników, architektów, inżynierów, fabrykantów, majstrów, rzemieślników i wszelkiego rodzaju przemysłowców. Jest to **najobfitsze, najlepsze i najtańsze** źródło zaopatrzenia się w potrzebne artykuły, wyrabiane **z doskonałego materjału i nadzwyczaj trwałe.** 4962 24—17

Zakład masarski, pod firmą Sosina w Tarnopolu wyrabia doskonałe wszelkiego rodzaju wędliny i delikatesy masarskie, które nie ustępują w niczem zagranicznym tego rodzaju wyrobom, są smaczne, zdrowe i z wzorową czystością przyrządzane, a zawsze świeże i w wielkim wyborze. 4907 6—4

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.